

To był bardzo dziwny dzień. Wczesnie, bo już o godz. 5-ej rano obudziła nas Mama. Miała zaczerwienione, zapłakane oczy a ręce podające nam śniadanie drżały. Mieszkanie przepełniał zapach kropli "waleriana", które Mama podawała Babci, żykając też sporą porcję. Obie chodziły po mieszkaniu i jakby z czułością dotykały mebli, ścian - na których pozostały jasne plamy po obrazach i rodzinnych portretach. Ogromny stołowy kredens, szafy, szafki straszyły pustymi wnętrzami, dziwny był też odgłos kroków na zdeptanym parkiecie, który był zawsze dumą naszej Mamy.

Poprzedniego dnia samochód zabrał na Dworzec skrzynię, kufer i wielki toboł obszuty płótnem w którym była składana kanapa i pościel. Na wszystkich bagażach napis: KRAKÓW -POLSKA. O godz. 6-ej wyruszamy na Dworzec Czernichowski. Z trudem radzimy sobie z walizkami w których dźwigamy osobiste rzeczy. Przechodzimy przez duże, ulubione przez nas dzieci-podwórza. Bloki w których mieszkaliśmy prawie puste, okna pozamykane, bez firanek i kwiatów. Mama i Babcia ciągle płaczą.

Na Dworcu ogromny ruch. Szukamy Wujka, który nocował na dworcu pilnując bagaży. Są umieszczone w towarowym wagonie - nam przydzielono jeden przedział w wagonie osobowym. Przez wiele godzin formowano transport repatriacyjny, dołączano wygony w których byli ludzie "Z za Buga" wraz z całym swoim dobytkiem, także żywym inwentarzem. Wszyscy głośno mówili, szukano znajomych, krzyczały i płakały zagubione w tłumie dzieci, ryły krowy. Krzyk, płacz i ogromny tłum ludzi. Przed naszym przedziałem stali dorośli - mnie i brata przezornie zamknięto w naszym przedziale. Żegnały Mamę koleżanki, znajomi którzy zostawali jeszcze we Lwowie. "Nie płacz", "bądź dzielna", "zaraz napisz" itd.itd. Rady, życzenia, uściski i łzy....łzy. Skąd tych łez tyle ?

Ja (14 lat) i brat (12 lat) - rozlokowaliśmy się już w przedziale i z niecierpliwością oczekiwaliśmy chwili odjazdu. Wielka przygoda była przed nami. Mijały godziny, minęło południe - ciągle zmieniano godzinę odjazdu. Była piękna, słoneczna pogoda, w wagonie było gorąco i duszno. Opuszczali Dworzec odprowadzający, zrobiło się trochę spokojniej. Siedzieliśmy z bratem na stopniach wagonu, obserwowaliśmy ostatnie przygotowania. W tłumie szukaliśmy żołnierzy z orzełkami na czapkach. I nagle padł strzał! Jeden, drugi, cała seria! Ktoś krzyknął "banderowcy napadli na pociąg". Mama usiłowała wcisnąć nas pod siedzenia przedziału ale tam leżały worki z sucharami przez długie miesiące przygotowywane przez Babcię na "wypadek głodu". Leżeliśmy na podłodze, przykryci kocami, barykadowano drzwi i okna. Krzyk się wzrósł, huczało od strzałów. Nagle Mama powiedziała: "słuchajcie - oni krzyczą - koniec wojny!", "zwycięstwo", Hurrrrra! Otworzyli drzwi przedziału a na pero-

nie szaleństwo! Wszyscy się ściskają, całują, płaczą. Nadeszła wiadomość o kapitulacji Niemiec - wojna skończona! Wielki strach zamienił się w wielką radość! Radość, która przesłoniła tragedię wyjazdu, żal i rozpacz. Łzy smutku zamieniły się w łzy radości. A potem wyciągali "butelkowe zapasy" wiezione na "lekarstwo", "na czarną godzinę".

Na zdrowie! Na szczęście! Na pomyślność! Za zwycięstwo! - toasty, toasty. Błyszczące oczy, zaczerwienione twarze i wielkie wspólne świętowanie. Późnym wieczorem transport był gotowy do drogi. Z naszego przedziału z trudem schodził po stopniach zaprzyjaźniony sierżant Jan. KOńczył się ten dziwny dzień. Dzień smutku i radości. Dzień 9 maja 1945r! Ostatni dzień wojny, ostatni dzień dzieciństwa w rodzinnym, ukochanym Lwowie, dzień który pozostanie w pamięci do końca życia.

Za kilkanaście dni minie od tego dnia 46 lat. Każdego roku wspominam ten dzień i wszystkich moich bliskich których już niema, którzy odeszli. Cztery mogiły w Krakowie inne rozsiane po całym świecie. Od Władystoku po Flösenberg. Dla mnie i dla mego śp. Brata stał się Kraków drugim rodzinnym miastem. Tutaj uczyliśmy się, pracowaliśmy, zakładaliśmy rodziny. Przyjęła nas ziemia krakowska ale nie była dla nas łaskawa. Ciężko się żyło i żyje nadal.

Ja pracowałam od 1950r-1984r. " w kulturze". Jestem choreografem . Po zaważach serca chorobie i operacji tarczycy jestem na rencie inw. I gr. Wysokość renty 726.586zł - nie łatwo jest za to żyć osobie samotnej i chorej. Brat mój był metalurgiem pracował w Inst.Met.AGH. Po ciężkich zaważach serca i chorobie naczyń zmarł w wieku 55 lat. Nie ułożyło się nam dobrze życie osobiste, zabrakło trochę szczęścia. Toasty z przed lat nie spełniły się ale świadomość uczciwego, dobrego życia też ma swoją wartość i jeszcze ciągle mam nadzieję, że "jutro będzie lepiej".

Kraków, 19 kwiecień 1991r.

*Krzysztof'sł.-*

Krzystyna Szczerbińska

c30-051 Kraków

Urzędnicza 5/9



11/1825/J

© ARCHIWUM WSCHODNIE

25.01.1990r

Szanowny Panie Redakterze!

Kilka dni temu napisałam do Pana list po programie TV "Orleńta Lwowskie" ale grypa zatrzymała mnie w domu i listu nie wysłałam. Dzisiaj pomyślałam sobie, że napiszę jeszcze drugi list i wyślę je razem. Nie wiem, czy zechce Pan poświęcić trochę swego cennego czasu i przeczytać ten mój list wspomnień, ale ponieważ wiem, że zbiera Pan materiały o zbrodniach NKWD opiszę swoje wspomnienia.

Po wkroczeniu Armii Radzieckiej do Lwowa w 1939r jak Panu wiadomo rozpoczęły się masowe aresztowania, wywózki itd. Mieszkaliśmy wtedy przy ul. Arciszewskiego 8 / bloki Urzędu m.Lwowa/ a do Szkoły chodziliśmy z bratem na ul. Bebedyktynską / Szkoła P.P. Bebedyktynek Łacińskich/. Ja do III a brat do I klasy. Z ul. Arciszewskiego do ul. Zamarstynowskiej dochodziliśmy krótką ulicą / nie pamiętam nazwy/ na której znajdowało się więzienie / narożnik z ul. Zamarstynowską/. Okna budynku te najniższe znajdowały się na wysokości może 1/2 m. nad chodnikiem po którym przechadzał się żołnierz w wysokiej czapce i z karabinem na ramieniu. Nie zwracał uwagi na dzieci, które przechodziły koło tych piwnicznych okien. Po pewnym czasie okna te kolejne zamurowywane. Zimą nic nie czuliśmy ale kiedy zrobiło się ciepło z więziennych murów wydobywał się ciężki, nieprzyjemny odór. A my jak te dzieci - wachaliśmy mur a w domu opowiadaliśmy, że mury śmierdzą. Kiedyś skrzyczał nas strażnik a w domu zakazano chodzić tą ulicą do Szkoły. Czas mijał, znowu walki - do Lwowa wkroczyli Niemcy. Pewnego dnia ktoś przybiegł do bloków z wiadomością, że rozbili piwnice więzienia na Zamarstynowskiej. Mama z sąsiadką p. Leśko, której syn siedział w tym więzieniu zabrały mnie ze sobą. Pamiętam ogromne tłumy ludzi, w uszach do dziś słyszę krzyk i płacz. Pod budynkiem więzienia stały beczkowsy do oczyszczania szamba i ciężarówka. Ludzie w opaskach z gwiazdą zaczęli wynosić te ce byłe w piwnicach - ludzkie zwłoki w rozkładzie. Nosili wiadrami, wozili na taczkach. Ludzie przed więzieniem uklękli, była naprzód cisza, potem krzyk, płacz i głośna modlitwa. Odór był straszliwy, ludzie mdleli. Szabnącą sąsiadkę i mnie Mama wyprowadziła z tłumu. Nigdy, nigdy nie zapomnę tych chwil, i słów Matki: "odmawiaj wieczne odpoczywanie i pamiętaj, pamiętaj".

Panie Redakterze, napewno ma Pan w swoim archiwum wiele przekazów tej zbrodni, może komuś udało się sfotografować ale niech i moje straszne wspomnienia będą świadectwem tego mordu, jednego z wielu popełnionego na narzędzie polskim przez NKWD.

Myślę też, że nie tylko zbrodnie NKWD ale i inne poczynania władz radzieckich były zbrodnią popełnioną na lwowskich rodzinach, na rodzinach wschodniej Polski. Proszę Pana o jeszcze trochę cierpliwości. Chciałabym opisać losy mojej rodziny jako przykład chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że takich rodzin było setki tysięcy.



Dziadkowie ze strony Matki to Olga ze Sklepkowiczów i Stanisław Jabłoński, obywatel. Lwowa, właściciele początkowo 2 domów w Zniesieniu, potem po I Wojnie Św. jednego ul. Długa 11a. Dziadek zmarł w 1918 r. a podczas wojny zginęło ich treje dzieci. Pozostali to :

Maria z Jabłońskich Smarzewska, Józef Jabłoński i Wanda z Jabłońskich Filak - moja Matka.

Maria Smarzewska żona podoficera zawodowego Stanisława, Franciszka Smarzewskiego - zmarła na tyfus, którym się zaraziła niesąc pomoc pracującym obok domu więźniom i żydom przyprawdzanych z getta.

Wujek, Stanisław aresztowany przez Niemców był więźniem Łackiego, potem obozu w Majdanku. Przewieziony do obozu w Flörsenberg został zamordowany 27.IV.1943r / dokument: zawiadomienie z obozu/.

Starszy ich syn Mieczysław / 19 lat/ aresztowany wiosną 1940r. przez NKWD skazany na 8 lat zsyłki i łagru został wywieziony z więzienia przy ul. Zamarynowskiej 1.XI.1940r. do pow. Amurskiego gdzie dotarł 13.01.41r. Po wojnie został odszukany przez Tow. Pomocy Polakom w Londynie. Do mojej Matki przysłano akt zgonu podpisany przez Szefa Duszpasterstwa Jedn. Wojska Polskiego na Sr. Wschodzie ks.płk. Brandysa i płk. Jana Dziekana. Mieczysław zmarł w Kenimech 12.03.1942r. nr. grobu 41.

Młodszy syn Smarzewskich Zdzisław ur. w 1925r. jako 16-letni uczeń został wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. Przeżył wojnę, mieszka w USA. Józef Jabłoński - zmarł bezdzietnie w 1987r.

Wanda Jabłońska - żona Ignacego Filaka urzędnika Zarządu Miejskiego w Król. Stoż.m. Lwowie zmarła nagle w 1980r.

Ojciec mój Ignacy był Obrońcą Lwowa, uczestnikiem wojny polsko-rosyjskiej w 1920r. Odznaczony medalem Obrońców Lwowa i Krzyżem Niepodległości.

W 1939r. został zmobilizowany, po klęsce wrześniowej zdecydował się nie opuszczać Kraju, nie przekroczył granicy rumuńskiej - powrócił do domu. Działał w AK zmarł nagle 20.IX.1941r. Zostaliśmy z Matką sami. / Ja 10 lat, brat 8 lat/. Wtedy zamieszkała z nami Babcia i wujek Jabłoński. Nie będą opisywać nędzy i tragedii okupacji - przeżyliśmy ją dzięki życzliwości naszej Babcia.

A potem przyszła następna 3-a "okupacja" i nakaz opuszczenia Lwowa. Do końca życia będę pamiętał dzień wyjazdu. Płacz Babcia, Mamy, puste ściany i drwiący uśmiech nowej właścicielki mieszkania o imieniu Raja. Cały dorobek moich Rodziców, Babcia a także pełna piwnica mebli, książek po likwidacji mieszkania Cioci Smarzewskiej zostały we Lwowie a my z kilkunatobozami i walizkami ruszaliśmy w nieznaną. Przy rejestracji do wyjazdu Mama wybrała jako miejsce zamieszkania Kraków. Pamiętam zatłoczony Dworzec, płacz wyjeżdżających i tych którzy jeszcze zostawali. Żegnali nas znajomi, bliskich już nie było a dalsza Rodzina / 9 osób/ jeszcze byli w Kazachstanie. Był to 9 maj 1945r. Dzień końca wojny!



Do Krakowa dotarliśmy 13 maja 45r. Pogoda piękna, upalna a my z tobożami cały dzień na Dworcu Towarowym. Wreszcie zapakowali nas do samochodów ciężarowych i jedziemy - dokąd?

Na ul. Prądnickiej 54 stały baraki, które za okupacji były przejściowym obozem przed wywozem do innych w głębi Niemiec. Oteczone kolczastymi drutami, na placu pomiędzy barakami studnia i jedna ogólna dla wszystkich latryna. / dziury w betonie i dwie "stopki", bez dachu - przybytek oteczony jakby płotem/. W połowie długiego baraku wahadłowe drzwi wejściowe, w prawo i w lewo po jednym pomieszczeniu / pewnie dla strażników obozu/. Za tymi pomieszczeniami długa, bardzo długa sala z drewnianymi, piętrowymi pryczami. Każda przywieziona tam rodzina dostawała część tej sali - tyle co jedno okno ~~na~~ szerokość a długość pryczy - mogło to być 3x2,5m. Środek sali pusty - po obu stronach " kąciaki rodzinne". Pryczy nie musiało się brnąć, zajmowali je samotni repatrianci zarówno ze wschodu jak i ci co powracali z zachodu, powracający z robót, obozów itd. / m. in. sąsiadem naszym był p. W. Nehrebecki, dziś już nie żyjący twórca filmu "Bolek i Lolek"/. Mama urządziła nasz kąt. Dostaliśmy miejsce w rogu sali. Rozkładana kanapa z pościelą / to był jeden z tobożów/ plus deska na cegłach pod nogi to było spanie dla czworga. Wujek spał na polowym łóżku. Na środku naszego "pokoju" żelazny, okrągły piecyk z dziurawą, dymiącą rurą sięgającą sufitu. Na sali 12 rodzin plus samotni. Przed nami lato. W nocy szok! inwazja pluskiew i robactwa. Pamiętam "odpluskwianie". Na blaszanych rynienkach palono żółte, cuchnące pałeczki. Odbywało się to w nocy, barak był uszczelniony i zamknięty a my siedzieliśmy przy ogniskach na dawnych placach apelowych. Rzeczy osobiste trzeba było mieć ze sobą. A potem ten niesamowity smród na salach, ta cuchnąca pościel! Kuchnia przez jakiś czas wydawała nam posiłki : rano czarna kawa, smalec i chleb, na obiad zupa grochowa lub ziemniaczana. Zaradna Babcia mająca już 75 lat wzięła się za handel warzywami / jak za okupacji/ a Mama pracowała jako wychowawczyni w świetlicy dla sierot. Od września ja i brat zaczęliśmy chodzić do szkoły. Wujek chory - nie pracował, pilnował naszego "dobytku" jako, że na sali byli różni ludzie zdarzały się kradzieże, awantury itd. Przyszła zima. Rano przed wyjściem z domu trzeba było urąbać zamrożoną kawę, którą grzaliśmy na piecyku dającym odrobinę ciepła. Lekko odrabialiśmy ubrani w rękawice, okrąci kocami. Zmieniali się ludzie na sali. Jedni wyjeżdżali " na zachód" inni dojeżdżali "ze wschodu". My oczekaliśmy na ciągle obiecane mieszkanie. Mieszkańców polnieckich było wiele ale już wtedy trzeba było umieć rozpychać się łokciami i mieć tzw. wejścia i chody. Tych ostatnich nie było a walczyć moja Mama nie umiała. Zawsze należała do tych " co to przepraszają, że żyją". Jeżeli znalazła puste mieszkanie zgłaszała je w Urzędzie Lokalowym a za kilka dni już mieszkanie było zajęte. I tak mijały lata. 4-y okropne długie lata biedy



i poniżenia. Najgorza była zima 1947r.. Zostaliśmy sami na wielkiej sali w swoim kącie. Nie można było ogrzać takiej powierzchni. Jedynym plusem tej samotności był fakt, że nie trzeba było biegać nocą do odległego wc. Choroვაłam b. często. Anemia, parafenteza, która gnębi mnie przez całe życie, zapalenie stawów, korzonków - a miałam zaledwie 17 lat. W 1948r. dostaliśmy mieszkanie. Pokój z kuchnią - bez gazu ale z łazienką i wc.!

Dalsze losy też nie były łatwe. w 1950r. zmuszona warunkami przerwałam naukę w Liceum i podjęłam pracę. Maturę, studia kończyłam będąc już mężatką. Brat od VI klasy aż do matury przebywał w Zakładzie Wych.Naukowym w Krzeszowicach / tam też wychowywali się Sława Przybylska, bracia Bratkowscy, Joanna i Łukasz Jedlewscy, Ryszard Abramowicz, bracia Emerychowie i inni znani dziś ludzie/. Brat ukończył studia na AGH, był pracownikiem Instytutu Metalurgii. Babcia zmarła w 1954r. Matka jak już wspomniałam w 1980r. Rok 1987 zabrał mi Wujka i najlepszego, najmłodszego Przyjaciela - Brata. Ja od 1980 r. jestem na rencie aktualnie Igr.inw. I tak Panie Redaktorze nie trzeba było łagru na Syberii, nie trzeba było obozu aby stracić zdrowie i wszystkich najbliższych. To minione, ciężkie lata wygnańców z własnego kąta przyczyniły się do chorób i przedwczesnej śmierci. To "czerwoni bracia" zgotowali nam taki los. Dziś jestem sama i jedyny mój luksus to samodzielne mieszkanie ale też i strach czy sobie poradzę z 726.900zł renty bo tyle dorobiłam się pracując 30 lat "w kulturze". Przez te wszystkie lata żyło mi się ciężko i myślę, że chyba już nie doczekam lepszych, spokojniejszych czasów. Czy nadejdzie taki dzień, że i my wygnańcy zostaniemy dostrzeżeni? Czy ktoś upomni się o nas? Z dnia na dzień potęguje się strach, obawa, że człowiek sobie nie poradzi, że może nadejść chwila, że nie będzie można utrzymać mieszkania i siebie, że trzeba będzie znowu szukać jakiegoś kąta a może miejsca w Domu Opieki?

Panie Redaktorze, przepraszam za ten długi list ale mam cichą nadzieję, że pośród wielu bardzo ważnych spraw, którymi się Pan zajmuje dostrzeże Pan też i ten problem - problem ludzi wywiezionych nie na wschód ale na zachód.

Łączę wyrazy szacunku

*K. Szerbińska*

Krystyna Szerbińska  
30-051 Kraków, ul. Urzędnicza 5/9



11/1825/3  
Kraków, 20.01.1990r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Przed chwilą zakończył się w TV Pana reportaż "Lwowskie Orleża". Oglądałam również poprzednie 13.XII.89 & Samborze i 28.XII. o Stanisławowie. Każdy z nich to wzruszenie, żal i sadama ale ten dzisiejszy szczególnie mnie wzruszył. We wrześniu ub. roku byłam we Lwowie, pierwszy raz od 1945 roku. Opuszczałam to miasto będąc dzieckiem dotarłam do niego pod koniec życia. Mam prawie 60 lat. Byłam tam z synem chowanym w kulcie i miłości do Lwowa. Nie będę opisywać wraceń kiedy to serdecznie zapraszana przez obcych ludzi chodziłam po domu mojej śp. Babci, po pokoju w którym urodziłam się ja i mój śp. Brat, kiedy wchodziłam do kamienic w których mieszkaliśmy z Rodzicami a także do innych gdzie mieszkała moja Rodzina. Scisnięte wzruszeniem gardło, łzy i bicie serca / po 2 zawałach/.

Na cmentarzu Janowskim nie odnalazłam już mogiły mojego Ojca ale modlitwę za Niego, kwiaty i znicze złożyłam na Cmentarzu Obrońców Lwowa jako, że był jednym z nich. Odznaczony medalem Obrońców Lwowa, Krzyżem Niepodległości, rany w Ogrodzie Jeznickim. Na tym biednym, srujnowanym cmentarzu kiedy w sadumie staliśmy nad grobem Nieznanego Żołnierza abok przystanąło 2-je młodych ludzi. Zaczęliśmy rozmawiać i oto okazało się, że jest to rodzeństwo Polaków urodzonych i wychowanych we Lwowie. Rozmowa z nimi trwała kilka godzin, towarzyszyli nam w wędrowce po Cmentarzu Łyczakowskim i po ulicach Lwowa. Są członkami Stowarzyszenia Polaków we Lwowie i chóru "Echo". Od maja 1989r wspólnie z grupą polskiej młodzieży pracują z pracownikami "Energopolu" przy oczyszczaniu zdewastowanego cmentarza a w niedziele / była to niedziela/ przychodzą złożyć kwiaty i zapalić światła. Wspaniali, serdeczni, zakochani w swoim rodzinnym mieście. Byłam pełna podziwu dla nich i dla im podobnych o których mi opowiadali. Koresponduję z nimi, oczekuję ich wizyty.

Panie Redaktorze! nawet nie wie Pan czym są dla nas - ludzi ze wschodu Pana wzruszające reportaże. Dzięki Panu za to a także wszystkim, którzy ten program realizują. Serdeczne słowa i myśli kieruję również do pracowników Energopolu i Konsulatu.

Jeżeli będzie Pan miał okazję być kiedyś gościem chóru "Echo" we Lwowie to wspaniała polska dziewczyna nazywa się Bogusia Sitowska mieszka na ul. Tiereszkowa 3a/2.

Życzę Wszystkim najserdeczniej zdrowia, wytrwałości i radości z tej trudnej ale także pięknej pracy.

Krzyszyna Szczęślińska

List do red. TV p. Augustyka  
progr. p. "DAWNIEJ JAK WŁOZRAJ"